

**CHRIS
NIEDENTHAL**
**Właściwy
moment**
Pół wieku
z aparatem

MARGINESY

Copyright © by Chris Niedenthal

Copyright © for the Preface by Adam Pluszka

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Nie wiedzielibyśmy tyle o świecie, gdyby nie Chris Niedenthal. Przez niemal pięćdziesiąt lat swojej fotoreporterskiej pracy pokazywał nam przeobrażającą się Europę i przeobrażającą się Polskę, a w niej nas samych: radosnych, zmęczonych, pełnych nadziei i miłości, beztrojskich, rozgoryczonych, niepewnych jutra i dnia dzisiejszego, odważnych. Pokazywał nam też zmiany, których nie mogliśmy obserwować osobiście – upadek rządu Ceaușescu, ak-samitną rewolucję w Czechosłowacji czy zburzenie muru berlińskiego. Jako obcokrajowiec – urodził się w Londynie i zamieszkał w Polsce na początku lat siedemdziesiątych – pomógł Polakom patrzeć na rzeczywistość, która trzęsła się w posadach. Pomagał nam ją zrozumieć. Dla „Newsweeka”, „Time’a”, „Spiegla” fotografował powstanie Solidarności, pierwszą wizytę Jana Pawła II w Polsce, stan wojenny i upadek komuny. Wiele jego zdjęć stało się ikonami. Wystarczy powiedzieć „czołg przed kinem Moskwa z *Czasem apokalipsy*” i niemal każdy widzi ten kadr. O wielu jego zdjęciach nie wiemy, że zrobił je Chris Niedenthal, a jednocześnie to jeden z bardziej rozpoznawalnych i cenionych fotografów. Za zasługi we wspieraniu przemian demokratycznych w Polsce i osiągnięcia w działalności dziennikarskiej otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Dostał także Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W 1986 roku został laureatem nagrody World Press

Photo za portret sekretarza generalnego węgierskiego KC Jánosa Kádára.

To rzadki dar – znaleźć się we właściwym miejscu i we właściwym momencie nacisnąć spust migawki. Jeszcze rzadszym darem jest łatwość, z jaką Chris Niedenthal zyskuje zaufanie tych, których fotografuje. Gdyby nie serdeczność i rodząca się natychmiast sympatia do niego, nie wiedzielibyśmy, jak wygląda śpiewak operowy Bernard Ładysz podczas obierania ziemniaków, ani nie widzielibyśmy, jak Lech Wałęsa całuje na pożegnanie Danutę Wałęsę po strajkach w 1980 roku. Nie wiedzielibyśmy, jak znakomitą gimnastyczką jest Dorota Stalińska (i jak prezentuje się jej ówczesne bielańskie mieszkanie), ani nie zobaczylibyśmy ciepła bijącego od Gustawa Holoubka. Żeby przekonać się, jaki Chris Niedenthal jest (i jak duży ma do siebie dystans), wystarczy sięgnąć po opublikowaną w Marginesach autobiografię *Zawód: fotograf* (2011) i jej poszerzoną wersję *Zawód: fotograf. Ciąg dalszy nastąpił* (2020).

Pomysł na *Właściwy moment* zrodził się w czasie lockdownu w 2021 roku. Pomyśleliśmy, że dla kogoś tak spragnionego kontaktu z drugim człowiekiem konieczność siedzenia w domu musi być męką. Uzналиśmy więc, że skoro Chris Niedenthal – jak reszta z nas – nie może wychodzić, mógłby z powodzeniem odbywać podróże w przeszłość. Choć nie mieliśmy pojęcia, ile każą nam siedzieć w domach, z rozmachem poprosiliśmy Chrisa, żeby przez kolejne sto dni przysyłał nam po jednym wybranym przez siebie zdjęciu: ulubionym, nieznanym, ważnym, przypadkowym – jakie się trafi. I żeby do każdego z nich dołączał opis, co na nim jest, kiedy powstało i co Chris pamięta z czasów, gdy je zrobił. Zazwyczaj zdjęcia Chrisa Niedenthala mówią same za siebie, my chcieliśmy jednak poznać podszewkę, dowiedzieć się tego, czego nie widać – co było chwilę przed pstryknięciem i chwilę po nim. I przez sto dni z okładem Chris Niedenthal przysyłał po jednym zdjęciu i do każdego dołączał krótszy bądź dłuższy tekst. Projekt roboczo nazwaliśmy *100 moich ulubionych zdjęć*.

W międzyczasie lockdown się skończył, świat wrócił na nieco inne już tory, zaczęły się marsze, protesty, strajki, imprezy i festiwale, każdy znów miał pełne ręce roboty, ale książka powoli dojrzała w folderze na wydawniczym serwerze, a nawet rosła, bo

co jakiś czas prosiłiśmy o nasze ulubione zdjęcia albo takie, które wypełnią jakąś lukę czasową (koniec końców zbierało się ich sto osiemdziesiąt siedem). I dziś z dumą możemy pokazać owoc kolejnej współpracy z tym niesamowitym człowiekiem.

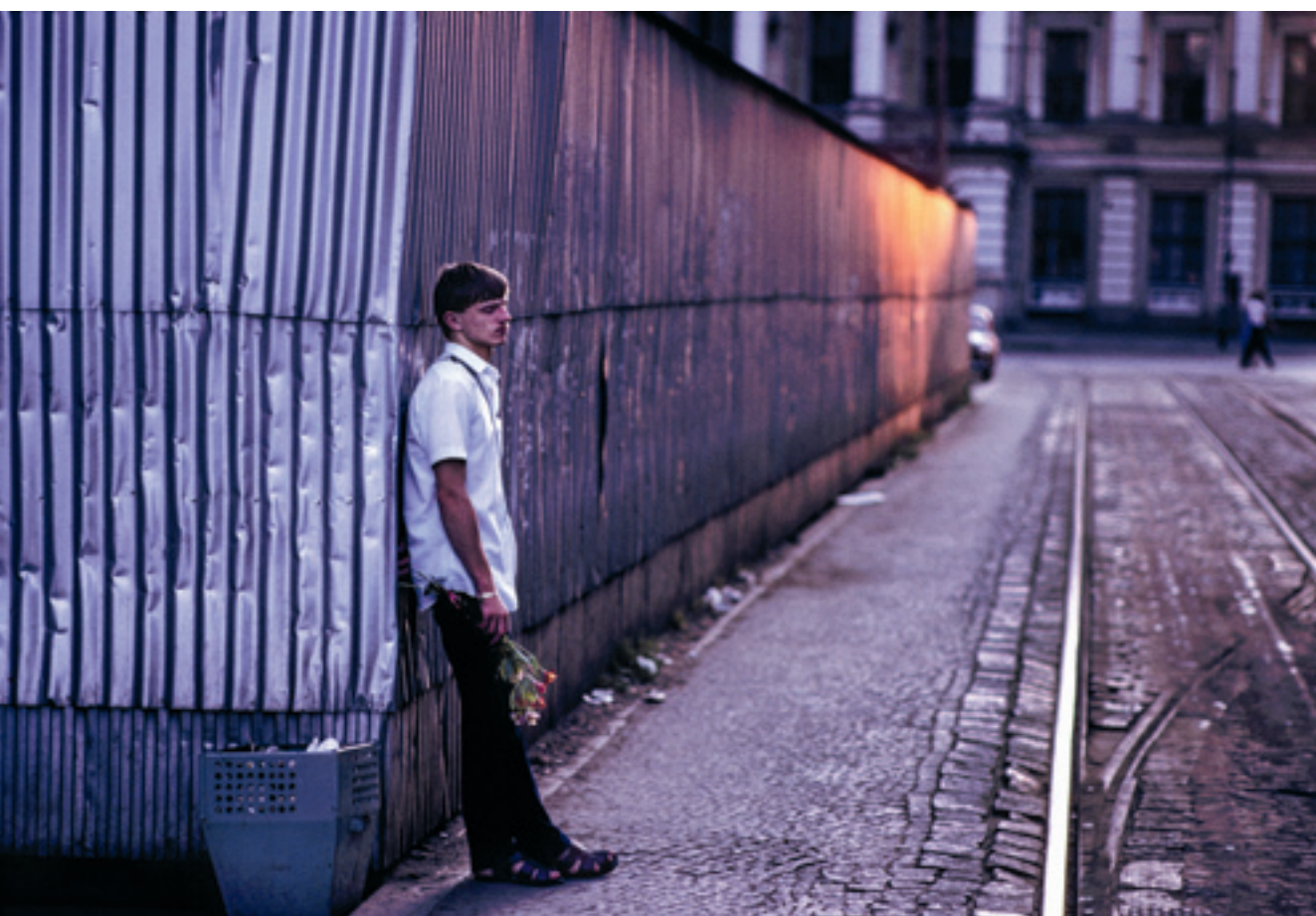
Adam Pluszka

Przyjdzie, nie przyjdzie?

Jest w niej coś ciepłego, ludzkiego. Zawsze lubiłem tę fotografię.

Zrobiłem ją w 1982 roku we Wrocławiu. Pracowałem wtedy nad większym materiałem o tym mieście dla niemieckiego miesięcznika „GEO”. To bardzo proste zdjęcie, i właściwie o niczym. Owszem, popołudniowe letnie światło jest miłe. Tory tramwajowe na starym bruku ładnie lśnią. Można się domyślić, że za tym aluminiowym parkanem trwa jakaś budowa, ale to właściwie jest nieistotne, choć graficznie ciekawe. W tle widać kawałek starego wrocławskiego budynku.

No i ten chłopak. I kwiaty w jego ręku. To przez te goździki (wtedy najpopularniejsze kwiaty, może poza gerberami) rodzi się pytanie: Czy przyszła? Czy się doczekał? Chłopak jest już trochę zmęczony, znużony. I kto wie, może zaraz się podda, wyrzuci te kwiaty do kosza i pójdzie w siną dal. Zakończenia tej sytuacji już nie widziałem. Nie musiałem. Wystarczy mi ten moment zwątpienia widoczny na jego twarzy. Niewykluczone, że tylko ja go wychuwam. Prawda może być zupełnie inna. Ale w tym tkwi magia fotografii. Uchwycona chwila nie mówi nam wszystkiego, mówi nam wyłącznie o tej jednej, szybkiej chwili – a my możemy do niej dopisywać, co tylko chcemy.



Węgierskie bombki

Towar na małej drewnianej przyczepce zauważyłem w ostatniej kolejności. Najpierw moją uwagę zwrócił stary motocykl, z całym tym „uzbrojeniem” na wypadek złej pogody, kask zwany czasami „żołądziem”... Nie pamiętam, by w Polsce jeździli tacy syfoniarze. Tego miłego pana sfotografowałem w Budapeszcie w 1988 roku. Butelki wyglądają na domową robotę.

W ciemnej uliczce stanął idealnie w słońcu i skierował do mnie ten piękny, również słoneczny uśmiech. Jeździł z tymi syfonami po domach czy może po restauracjach? Tego nie wiem. Pamiętam, że w Polsce przy każdym metalowym kraniku wkręcane były takie małe, też metalowe bombki ze sprężonym powietrzem. Każdy mógł sobie tak wyposażyć specjalną butelkę z grubego szkła, i *voilà*, miał gotową wodę sodową, którą piło się samą albo z jakimś pysznym owocowym sokiem zrobionym przez babcię czy ciocię. W tym węgierskim wypadku sędzę, że trochę inaczej napełniało się te syfony, bo nie widać bombek. Może ten sympatyczny pan miał u siebie na podwórku jakąś chałupniczą linię produkcyjną? Ale tego też nie wiem. Wiem tylko, że magia fotografii polega też na tym, że każdy może wymyślić sobie, co tylko chce. Choć muszę przyznać, że nie zawsze podobają mi się analizy moich zdjęć, zwłaszcza przemałdrzałe recenzje.

A na tym akurat zdjęciu wszystko jest idealnie czytelne. Od miłego pana aż po towar, który rozwozi po Budapeszcie. I jest tu też nutka nostalgii za czasami, kiedy w upalne letnie dni piło się zimną wodę sodową z tym babcinym sokiem. Z wiśni, maliny, może czarnej porzeczki...

I to wszystko, nie znając słowa po węgiersku!



Papier na poważnie

Polakom trudno się powstrzymać od śmiechu, kiedy widzą fotografię z celebrowanym w PRL-u papierem toaletowym. Jak tylko pojawił się w sklepach, trzeba było od razu kupić jak najwięcej rolek, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy znowu będzie. W tym wypadku pani udało się zdobyć dziesięć rolek – prawdopodobnie tylko tyle można było kupić.

Tak więc ten temat zawsze budził wesołość.

Ale nie tym razem. Sfotografowałem tę scenkę w Wadowicach, jest to rok 1981 i dzień czy dwa wcześniej, w Watykanie, papież został zaatakowany przez niedoszłego zabójcę. W ciężkim stanie trafił do rzymskiego szpitala. Pojechałem do Wadowic, do kościoła na Rynku, w którym mały Karol Wojtyła został ochrzczony i przy którym się urodził i mieszkał. Mieszkańcy modlili się za jego zdrowie w środku kościoła, ale ta pani została na zewnątrz – być może było jej niezręcznie wchodzić tam ze zdobytym papierem toaletowym. Trzymała rolki niemalże jak różaniec.

Sam zobaczyłem to zdjęcie dopiero kilkadziesiąt lat później, kiedy zostało mi zwrócone przez nowojorską agencję fotograficzną, w której wylądowały moje materiały z tego dnia. Moje filmy, niewywołane, najpierw trafiły do amerykańskiej redakcji „Newsweeka”, a potem przechodziły do agencji Black Star. Oryginalne slajdy wróciły do mnie, dopiero gdy agencja zaczęła przechodzić na system cyfrowy. I co to była za radość! Oczywiście już dawno zapomniałem o tym zdjęciu, ale przez to, co przedstawia – czyli głęboką religijność połączoną z chronicznym brakiem podstawowych towarów – od razu stało się dla mnie symbolem PRL-u.

Zacząłem się zastanawiać, czy ta fotografia kiedykolwiek została sprzedana do prasy amerykańskiej czy nawet światowej. Czytelnik w Ameryce czy gdzieś na świecie prawdopodobnie byłby w stanie zrozumieć, że ktoś klęczy przed kościołem i modli się za zdrowie rannego papieża.

Ale czy byłby w stanie zrozumieć, dlaczego trzyma aż dziesięć rolek papieru toaletowego? Na sznurku? Zostawmy to Polakom.



Teatr życia

Taka kolejka mogła być wszędzie. Nazwałem to zdjęcie „Teatrem życia”, ponieważ ludzie siedzą na ławkach jak w teatrze i oglądają udrękę – w dużej mierze starszych – warszawiaków, którzy czekają na kawałek mięsa. Oczywiście ci na ławkach to też kolejkowicze, tyle tylko, że mieli szczęście załapać się na miejsca siedzące. Kolejka formuje się przed dwoma sklepami, ale sądzę, że tylko jeden sklep się tu liczy. Mięso. Tak zresztą nazywały się sklepy w tamtych siermiężnych czasach. Mięso. Obuwie. Bez większej fantazji.

Jest to smutny widok. Zresztą nie tak łatwy do sfotografowania, bo ludzie wstydzili się tego, że muszą stać w kolejce, i nie lubili, kiedy się ich fotografowało. Wstydzili się własnego wstydu. Właściwie trudno im się dziwić. Poza tym nigdy nie było wiadomo, kto jeszcze może się tam kręcić, jakiś szpicel czy Bóg wie kto. A takich sytuacji starałem się unikać.

Scena ta jest w pewnym sensie kwintesencją naszego życia w tamtych czasach. Nie chodzi tylko o kolejkę. Proszę zobaczyć, jak te kamienice wyglądały, jak obskurnie. Brudne, obdrapane. I tak się też wtedy ubieraliśmy. Tak wyglądaliśmy.

Naliczyłem tu około sześćdziesięciu osób, i trudno sobie wyobrazić, jak długo będą musieli czekać, a kiedy dojdą już do lady, to co będą mogli jeszcze kupić. I ciekaw jestem, ilu z nich usłyszy to słynne: „Pan tu nie stał”.



Laska na ladzie

Mało towaru, mało klientów. Tłusty boczek: proszę bardzo. Ale w tym momencie – nic innego. W dowcipach nazywano to eleganczko „po japońsku”: nagie haki. Klasyczny widok sklepu mięsnego w PRL-u.

Ależ jakie to musiało być, a właściwie było, upokarzające dla ludzi, którzy chcieli kupić trochę mięsa, dla siebie, dla rodziny. Oczywiście czasami, chwilę po dostawie towaru, ta lada wyglądała nieco lepiej – tyle tylko, że sklep od razu się wypełniał i kolejka rosła niewyobrażalnie. Można było czekać godzinami, ale haki znowu pustoszały. Straszne czasy. Przy większej liczbie klientów przy ladzie stała dodatkowa pani z nożyczkami, tylko po to, by wycinać kupony z tych nieszczęsnych kartek racjonujących żywność.

Pogarszająca się sytuacja mięsna dotyczyła i mnie osobiście. Jedynym sensownym przywilejem akredytowanych korespondentów zagranicznych był dostęp do sklepu mięsnego dla dyplomatów. Otrzymałem specjalną legitymację, ale odmówiłem robienia tam zakupów. Byłoby mi głupio tam chodzić. Jakoś dawałem sobie radę bez tego – póki nie założyłem rodziny.

Kiedy się ożeniłem i urodził nam się syn, ten świstek papieru okazał się, niestety, zbawienny. Przyznaję się, w końcu zacząłem tam kupować, ale oczywiście nie tylko dla siebie – zaopatrywałem rodzinę bliższą i dalszą i mnóstwo przyjaciół i znajomych.

Ale zawsze z tyłu głowy miałem myśl, że do czego to doszło, że kraj nie jest w stanie wykarmić swoich obywateli. I że z jakiej racji dyplomaci i korespondenci mogą sobie kupować, ile tylko chcą, kiedy wszyscy inni są zmuszeni potwornie się męczyć w tych strasznych kolejkach. Wstydzilem się, choć rzeczywiście byłem w stanie pomóc wielu ludziom.

Wstydzilem się wtedy, i wstyd ten został ze mną do dziś.



Solidarność wszędzie

4 czerwca 1989 roku. Pamiętna data pierwszych prawie wolnych wyborów w Polsce. Po tym dniu do kraju zaczęła powracać demokracja.

Sfotografowałem tę scenkę przed lokalem wyborczym w małej wsi pod Kozienicami. Demokracja demokracją, ale dzisiaj taki widok przed lokalem wyborczym byłby niemożliwy. Zabrania tego cisza wyborcza. Ale wtedy – hulaj dusza, piekła nie ma! Wszystko było możliwe. Taka panowała atmosfera – prawdopodobnie w całej Polsce – w dniu wyborów. Nawet nasze poczciwe maluchy brały w tym udział.

A z tym piekłem, jak to szło? Wtedy jeszcze go nie było, trzeba było poczekać kilkadziesiąt lat, by zaczęło się ujawniać...



Ważny podpis

Poza wielkim długopisem nie było żartów. Dzień: 31 sierpnia 1980 roku. Miejsce: sala BHP, Stocznia im. Lenina w Gdańsku. Bohaterowie: Lech Wałęsa i wicepremier Mieczysław Jagielski. Okoliczności: koniec strajku okupacyjnego w stoczni. Było to tzw. porozumienie sierpniowe.

Podpis Lecha Wałęsy był ważny dla niego, dla stoczni, dla Polski. A właściwie też i dla świata. I przy okazji dla mnie. Pierwszy raz w swoim zawodowym życiu spotkałem się z tak ważnym i istotnym tematem politycznym. Skończyło się tym podpisem i podpisem Jagielskiego – a mogło skończyć się zupełnie inaczej.

Dobrze pamiętam ten dzień. W sali BHP tłok niemiłosierny. Duszno. Gorąco. Wszystko, jak zawsze, się opóźniało. Nad bohaterami na ścianie wisiał krzyż. Dzisiaj byłoby to źle widziane, ale wtedy to miało ogromne znaczenie. Krzyż w państwowej, socjalistycznej stoczni? I, co gorsza, wicepremier podpisujący pod krzyżem tak ważny dokument? Niesłychane rzeczy działy się wtedy w Gdańsku.

Miny wszystkich uczestników były poważne.

Kiedy tylko podpisy zostały złożone, na sali wybuchł aplauz. Delegaci innych fabryk z całej Polski ściskali się, całowali.

Było pięknie.



Filmowy Lech

Zmęczony Lech Wałęsa w swoim salonie po strajku w sierpniu 1980 roku? I tak, i nie.

Ten pan wygląda jak Lech, meble może i nawet pasowałyby do jego salonu. Ale coś tu nie gra, prawda?

No właśnie. Widzimy tu aktora, Roberta Więckiewicza, podczas kręcenia filmu Andrzeja Wajdy *Wałęsa. Człowiek z nadziei* w 2012 roku. Pan Robert korzysta z przerwy w filmowaniu, otoczony jest ekipą i rzeczywiście siedzi w niby-salonie Lecha, podobnego do prawdziwego salonu prawdziwego Lecha. Autor zdjęć Paweł Edelman nachylił się w zamyśleniu; planuje następne ujęcie, tak mi się wydaje.

Producent filmu Michał Kwieciński zrobił mi wielką przyjemność, kiedy zaprosił mnie na plan tego filmu; wewnątrz kręcono w studiu w Warszawie. Wiedział, że będę tam jedną z niewielu osób, które pamiętają Lecha z czasów strajku i jego prawdziwe mieszkanie we Wrzeszczu. I faktycznie, ciarki przeszły mi po plecach, kiedy zobaczyłem to niby-mieszkanie i ucharakteryzowanego Więckiewicza. Podobieństwo, według mnie, było niesamowite. W dodatku aktor miał świetnie wyćwiczony głos i sposób mówienia.

Filmowana scena przedstawiała typową sytuację w mieszkaniu Wałęsów, kiedy przychodziło mnóstwo działaczy Solidarności i dziennikarzy, głównie zagranicznych. Pokój był więc pełen ludzi. Zdenerwowana niby-Danuta wylatuje z kuchni i każe im wszystkim wyjść, Lechowi również, bo ma już dość szykowania im wszystkim jajeczniczy, herbaty itd. Trzeba pamiętać o tym, że w tamtych czasach palili wszyscy; dobrze pamiętam prawdziwy salon zasnuty dymem, zresztą jak każde inne pomieszczenie. Byłem niepalący, więc zawsze mi to przeszkadzało. Na planie komenda rozpoczęcia zdjęć brzmiała: „Zapalić papierosy! Kamera! Akcja!”.

Podobno w dzisiejszych czasach przy takich okazjach nie pali się prawdziwych papierosów, lecz specjalne, ziołowe – ale dla mnie to wszystko jedno. Nie lubię ani takich, ani takich.

Dla pocieszenia chciałbym zaznaczyć, że nigdy nie spotkałem się z taką nerwową reakcją, gdy bywałem u prawdziwych Wałęsów w ich prawdziwym mieszkaniu. Pani Danuta zawsze była uprzejma i uśmiechnięta, choć zdaje sobie sprawę, że musiała żyć w ogromnym stresie.



Przytulanka na poziomie

Nie będę ukrywał, że fotoreporterzy zawsze czekają na takie momenty. Papież trzymany za pupę przez małą dziewczynkę – to jest to! Oczywiście jest to papież Jan Paweł II, i oczywiście są to małe krakowianki – więc zdjęcie to zrobiłem w Krakowie, a ściślej na Wawelu w roku 1987, czyli była to trzecia pielgrzymka JP2 do ojczyzny.

To nie jest tak, że pielgrzymki do Polski polskiego papieża były zawsze fotograficznie pasjonujące. Większość czasu zajmowały msze święte, a te – nawet celebrowane przez papieża – nie dają okazji do tworzenia zdjęć, które rzucają na kolana. To zdjęcie też może nie należy do tej kategorii – ale cokolwiek by o nim mówić, jest o wiele ciekawsze. I jest ciepłe, wesołe.

Jan Paweł II zamienia słowo z zakonnicami. Wokół papieża wszyscy są zachwyceni, uśmiechnięci. I zakonnice, i ministranci. Siłą rzeczy, małe krakowianki też. Nie chcą być pominięte, przecież mają za zadanie wręczyć papieżowi kwiaty. Ale dlaczego przy okazji nie miałyby się do niego przytulić, przecież rodzice im wmawiali, że to ważny gość! No i tak się stało, tyle tylko, że poziomy się nie zgadzały.

I my, fotografowie, czekamy na takie momenty, bo to właśnie one wywołują uśmiech, a przy okazji pokazują to ciepłe człowieczeństwo, którym zawsze emanował Jan Paweł II. Dzisiaj, to prawda, mówi się trochę inaczej o polskim papieżu. Ale kilkadziesiąt lat temu były inne czasy i Polska miała inne priorytety. A właściwie to polskie społeczeństwo miało inne priorytety, i polski papież je realizował.



Legionista w Kalwarii

Każdy młody polski fotoreporter co najmniej raz w życiu wylądował w Kalwarii Zebrzydowskiej w ważny dla katolików dzień. Przynajmniej w latach siedemdziesiątych. I mnie to nie ominęło, byłem wtedy młody i głodny wrażeń i dałem się pokierować albumowi Adama Bujaka *Misteria*.

Dla mnie, niby-młodego „Anglika” nieznanego takiej trochę średniowiecznej religijności, Wielki Piątek w Kalwarii Zebrzydowskiej był niezwykłym przeżyciem.

Jak to na przełomie zimy i wiosny, pogoda mogła być bardzo różna. Trafiłem na dzień, kiedy było błotniście, mokro i zimno. Szczególnie to błoto mnie zafascynowało, bo od razu dodawało kolorytu całemu obrzędowi. Jezus niosący ciężki krzyż przez błoto, wokół rzymscy legionści z okolicznych wsi, przebrani raz lepiej, raz gorzej – to było coś!

Każda scena podczas tego wielogodzinnego rajdu przez błoto wydawała się ciekawa i fotogeniczna.

W tym zdjęciu szczególnie podoba mi się dynamika. Młody chłopak z uśmiechem na ustach usiłuje zatrzymać tłum przed przechodzącym nonszalancko legionistą. Sama radość!



Manhattan przy moście Grunwaldzkim

Opinia publiczna zdaje się myśleć, że upozowałem tę dziewczynę.

Było to w roku 1982, kiedy fotografowałem Wrocław dla niemieckiego miesięcznika „GEO”. I nie, ona nie pozuje. Prawdopodobnie nawet mnie nie zauważyła. Zazwyczaj przy fotografowaniu ludzi do tego dążę.

Ale do rzeczy: przy moście Grunwaldzkim stoi sześć takich budynków, nietypowo, bo nie w szeregu, lecz w nieregularnej kompozycji. Ich architektką była Jadwiga Grabowska-Hawrylak. Projektując to osiedle, podobno czerpała inspirację z opływowych secesyjnych detali mostu Grunwaldzkiego. Budynki te przeszły do historii jako wrocławski Manhattan. Złośliwi mówią o nich „sedesowce”.

W PRL-u było o wiele łatwiej niż dziś dostać się do środka budynków mieszkalnych. Udało mi się wejść do czyjś mieszkanka w jednym z tych bloków i kiedy wyjrzałem przez okno, czy może kiedy wyszedłem na balkon, zobaczyłem tylko tę dziewczynę naprzeciwko. I tyle. Albo aż tyle, bo bez niej zdjęcie byłoby martwe. Trochę szczęścia zawsze się przydaje.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych budowa tego osiedla została wstrzymana między innymi ze względów bezpieczeństwa – nie codziennie budowało się wtedy tak wysokie budynki. Legenda głosi, że kiedy Edward Gierek już został pierwszym sekretarzem PZPR, w czasie wizyty we Francji w Pałacu Elizejskim ktoś do niego podszedł i z zachwytem zaczął komplementować tę wrocławską budowę. Gierek podobno nie miał zielonego pojęcia, o czym on mówił, ale znając biegle francuski i chcąc pokazać, jakim jest światłym władcą, zainteresował się sprawą i po powrocie do kraju odblokował tę inwestycję. To mu się akurat udało.

Tyle legenda. Osiedle to przeszło do historii polskiej architektury. Pani Hawrylak chciała, by beton był gładki i do tego biały – ale Polska nie była jeszcze gotowa na taką technologię i beton wyszedł szary i chropowaty. W ostatnich latach budynki zostały wyremontowane i dzisiaj bardziej przypominają oryginalny zamysł.

Po latach Muzeum Architektury postanowiło zrobić film o „sedesowcach”, a ponieważ jego pracownicy są miłośnikami tego zdjęcia, zaaranżowali i nagrali na tym właśnie dachu moje spotkanie z bohaterką fotografii. Okazało się, że uczyła się wtedy do egzaminu ze stomatologii i udało się – dzisiaj leczy zęby.



Co może się stać?

Kraje tzw. Europy Wschodniej nie miały szczęścia do przywódców. Wszyscy mieli czarną przeszłość. Erich Honecker, przywódca NRD, niczym się nie wyróżniał. Wystarczy, że odpowiadał za śmierć stu siedemdziesięciu jeden Niemców, którzy zginęli, próbując uciec na Zachód za jego rządów.

Jako fotograf rzeczywiście nie jestem w stanie przypisać mu jakiegokolwiek charyzmy. Nigdy nie czułem, by coś takiego od niego biło, a fotografowie zazwyczaj zwracają na tę cechę uwagę.

Tylko ten jeden jedyny raz udało mi się uchwycić jakiś normalny, ludzki odruch tego człowieka. I był to banalny odruch. Stał na płycie lotniska Schönefeld we wschodnim Berlinie w 1988 roku. Czekał na przylot swoich kumpli, czyli przywódców Układu Warszawskiego (Jaruzelskiego, Kádára, Ceaușescu itd.). Czekał i czekał, a tu nad nim nadciągały chmury deszczowe. I zupełnie odruchowo spojrział w górę, żeby zobaczyć, jak to będzie z tą pogodą. Był to klasyczny moment, na który czekają fotoreporterzy.

Jednak przez wydarzenia następnego roku jest to dla mnie zdjęcie symboliczne, bo Honecker wygląda, jakby patrzył niepewnie w swoją przyszłość. Rok później, w październiku 1989 roku, fotografowałem go ponownie w tym samym miejscu, kiedy czekał na tych samych kumpli. Już nie patrzył w niebo, serdecznie wyczuł się z Gorbaczowem, nie wiedząc, że chociaż zaraz miały się odbyć uroczyste obchody czterdziestolecia NRD, to już długo nie pociągnie. Zmiany polityczne zaszły tak daleko, że jeszcze w październiku został odsunięty od władzy, a 9 listopada mur berliński zaczął się sypać.

Uciekł do Moskwy, ale niewiele mu to dało. Chorował już na raka, więc pozwolono mu wyjechać do swojej rodziny w Santiago, Chile, gdzie zmarł w 1994 roku.

Tak więc jego odruch patrzenia w przyszłość w 1988 roku na wschodniobrzeźni lotnisku nic mu nie dał. Nie udało mu się zobaczyć, co go czeka. Nawet gdyby miał charyzmę, nie potrafiłby zrobić z niej użytku.

